Tom IV. Nr. 5.

11. Lutego. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt stary i Bona.

Zaraz z początkiem swego panowania, ożenił się był nasz Zygmunt, aleć niezadługo umarła ta żona nie zostawiwszy po sobie żadnego dziecka. Dobra to była pani, lecz Zygmuntowi trzeba było koniecznie jakiegoś potomka na tron polski, więc się ożenił po raz drugi. Owóż tą drugą żoną była jedna księżniczka włoska, a zwała się *Bona*.

Zdawało się zrazu, że to potulne stworzenie, królowi będzie na rozkazy i po woli; aleć dobrze mówią: *cicha woda brzegi rwie*, bo owo i ta Bona chodziła najprzód jak owieczka, a potem to sobie zaczęła trykać jak baran.

Królowi Zygmuntowi szedł krzyżyk po krzyżyku, nachylał się już zwolna do starości, więc uradowany, że mu Bona syna porodziła, nie oglądał się wiele na to jak ona sobie rządzić poczyna. A tymczasem przewrotna i chytra Włoszka rozsiadła się na piękne w królewskim tronie, i rządziła zgoła tak, jak gdyby Zygmunta na świecie nie było. Przy mężu to zdaje się

potulna i pokorniutka jak gołąbek, a po za oczy, to wystawiała kocie pazury i wszystko garnęła do siebie.

Nie dziwota ano, że się też źle działo w ten sposób, bo zawsze *biada temu domowi, gdzie krowa doboda wołowi.* Więc też nie było sprawiedliwości wielkiej ani uczciwości w rozdawaniu urzędów i dóbr królewskich; kto zapłacił Bonie, to pewnikiem wziął co chciał, bo Włoszka zrobiła się chciwą na pieniądze, i jak mogła tak zdzierała ludzi. Prawością i prostą drogą nikt nie doszedł końca, a kto posmarował to sobie i pojechał.

Nie tylko jako królowa, ale też i jako matka źle sobie postępowała królowa Bona. Syna *Augusta* wychowywała jak dziewczynę a nie jak chłopca. W pierzynę go otulała, słodkościami go karmiła, między samemi niewiastami go trzymała, a Boże broń gdzie na konia lub w pole na nieprzyjaciela. Przypatrywał się temu stary Zygmunt i mawiał nieraz:

— Ej Bono, Bono, ty mi ze syna lalkę zrobisz a nie polskiego króla!

— A cóż to — odzywa się Bona — to ma być tak jak ten drągal, co się ani ruszyć grzecznie nie umie, ze szablą ma jeno do czynienia, a stajnią go słychać na pięć kroków?

— Nie, moje dziecko — rzecze Zygmunt łagodnie — boć przecie będzie królem a nie stajennym. Ale król polski powinien być na wszystko tęgi: w głowie powinien mieć rozum a w ręce siłę, powinno mu być fraszką spać na polu i pod gołem niebem, bo nasza Polska ma ze wszystkich stron nieprzyjaciół i trza się z niemi uganiać. Cóż zasię będzie jak ty Augusta w pierzynkach wychuchasz?

— Co tobie do tego — zawołała Włoszka już zaperzona — ja sobie go tak wychowam jak mnie się będzie podobało.

A nato stary król spuszczał głowę i odchodził, bo był łagodny, i unikał jak ognia wszelkich poswarków.

Tak też ona kobieta zła i chciwa obróciła wszystko do góry nogami. Dawniej co ludzie szanowali, a niemal, że za świętego nie mieli Zygmunta, to teraz mruczeli tylko:

— Ot, stary niedołęga, babie się za nos wodzić daje, a my za to musimy biedę klepać i patrzeć się na różne zdrożności a

przekupstwa! Na nieszczęście nie było nikogo, coby to na rozum śmiało i otwarcie powiedział staremu królowi. Jeden tylko żył człowiek na dworze co czasem skoczył z prawdą w oczy, ale tego nazywali wszyscy błaznem, bo udawał głupiego, i jeno w śmieszkach wolno mu było powiedzieć prawdę choćby i królowi. Nazywał się ten człowiek *Stańczyk*.

Trafiło się jednego razu, że król wydawał wielkie łowy. Het z dalekiej Litwy przywieziono Zygmuntowi w podarunku ogromnego niedźwiedzia, więc też na tego miało być polowanie. Niedźwiedzia wsadzili do żelaznej klatki i czekali przyjazdu króla i panów.

Było to w Niepołomickich lasach pod Krakowem. Wielka gromada panów zebrała się i jadą razem z królem i z Boną, a wedle króla jedzie sobie też i Stańczyk, a bawi go swojemi dowcipkami. Wjechali do lasu. Zgraja psów spuszczonych ze smyczy zaczęła ujadać po krzakach i zaroślach; jeden grubo naszczekuje drugi cienko, zgoła całe organy zrobiły się w lesie. Wypuszczono też i niedźwiedzia z klatki. Niedźwiedzisko rozżarte i rozsrożone zaczęło psy szarpać i wali sobie obces naprzód, nie pytając na strzelców. Powalił on tam i podrapał nie jednego, nikt mu rady dać nie może, a tu niedźwiedź jak wściekły sadzi na królowę. Bona się zlękła, aleć to szczęście, że była na koniu; zwróciła go w bok i uciekła, choć w lesie spadła i potłukła się nie mało.

Niedaleko od królowej stał Stańczyk, a mój niedźwiedź podniósł łapy do góry i dalej na Stańczyka.

— Gwałtu, ratujcie — woła błazen i nie wie jak sobie dać radę. Jak na szczęście zjawiło się kilku chłopów co byli przy obławie, a słysząc krzyk Stańczyka, zwrócili się w oną stronę, i oszczepami zwalili niedźwiedzia.

Na tem się skończyło polowanie. Strachu i drapania było co niemiara, a pożytku nie wiele. Bona potłuczona dosiadła konia, cała gromada zebrała się przed lasem, i ruszyli nazad do Krakowa.

W drodze śmieje się stary król, i rzecze do Stańczyka:

— Mój Stańczyku, źleś mi się popisał! A toć zmykałeś cale nie po rycersku, ale jak błazen jaki.

A Stańczyk na to:

— Mój królu, większy ten błazen co ma niedźwiedzia w skrzyni, a puszcza go na własną szkodę.

Panowie w śmiech, a i król musiał się uśmiechnąć, choć mu to nie było bardzo słodko. Błazen chciał tu powiedzieć Zygmuntowi, że według praw boskich a ludzkich ma władzę i moc rządzić swoją żoną, a pozwala jej bujać jak onemu niedźwiedziowi w lesie.

Dokazywała też ta żona i bujała tak długo, aż też i zapędziła króla do grobu. Widział stary Zygmunt że już nie może sobie dać rady ani z Włoszką ani z królestwem, więc umyślił zdać wszystko na syna, jako że już był dorósł. Tym końcem zwołał sejm do *Piotrkowa,* zjechał też sam do tego miasta, ale się tam rozchorzał, a ledwo go odwieźli do Krakowa, to i Bogu oddał poczciwą i czystą duszę.

Co było żałości po tym królu, to dosyć powiedzieć, że przez cały rok po jego śmierci nie uświadczyłeś ani jednej krasej sukni, jeno wszystko czarne a czarne; w żadnej gospodzie nie usłyszałeś basów ani skrzypiec, tak się wszystkim odechciało bawić. A była ta żałość z własnej woli po całej ziemi, boć w Polsce nikt nie nakazywał smucić się po królu, skoro umarł.

Aleć też i sprawiedliwy był ten cały smutek. Zygmunt stary był pan dobry, a nad wyraz kraj miłujący; więc się we wszystkim starał aby był dostatek, nieskoro zrywał się do wojny a chronił biednych od ucisku. Złota też i majątków było wtedy siła w naszej Polsce, rozumnych ludzi jak grzybów w lesie, a wesołości w każdym kącie bez miary.

Boże, mój Boże, powróć nam takie czasy! —

Stachowa skrucha.

Hej po równiach Rzeszowa
Huczy zamieć śniegowa,
Aże chaty się trzęsą wieśniacze —
W chacie chora kobieta
Leży w płachtę spowita
Z dziećmi, patrzy na męża i płacze.

Wicher hula po dachu
— Zimno, głodno nam Stachu —
Boleśnemi prosiła go słowy;
— Chleba niema, drew niema —
Odrzekł jej i oczyma
Dziko patrzał, i włosy rwał z głowy.

Więc mówiła mu chora:
— Poleć Stachu do dwora
Dobry dziedzic zratuje nas może —
A Stach mówi: choćbyśmy
Mieli zdechnąć tej zimy,
Moja noga nie stanie we dworze.

Tam we dworze na ziemi
Pod cepami mojemi
Dziedzic charczał — dziś bym do niego
Szedł, i do stóp się kłonił,
By mnie psami wygonił?
Oj! nie pójdę do dworu białego!

Mówił — ona zmilknęła,
Tylko cicho westchnęła
Chore dzieci całując po czole;
On na sine ich usta
Spojrzał, pobladł jak chusta,
Więc się zerwał i leciał na pole.

Dłońmi chwycił za głowę,
I przez zaspy śniegowe
Leciał, krzyże nad drogą sterczały;
On się krzyżom nie kloni
Jeno goni a goni,
A złe myśli mu w głowie szumiały.

I szeptało mu licho:
— Pod dwór biały leć cicho
Spal, okradnij. Stach biegł przez tu-
Rzekł: potępię znów duszę, [many,
Lecz chleb, opał mieć muszę
Dla mych dzieci, dla żony kochanej.

I pod drzwi się podkrada
Do krzesiwa się składa;
A wtem stanął pan przed nim i pyta:
— Witaj Stachu, w tej porze
Co tu robisz we dworze?
— Zaniemogła mi moja kobieta.

Rzekł i pobladł od strachu.
— Czemuś zląkł się tak Stachu?
Dziedzic pyta się Stacha w zdziwieniu.
— Dzieci chore na kupie,
Nędza w mojej chałupie,
Ratuj panie, poratuj w cierpieniu.

Pan uwierzył i rzecze:
— Nie rozpaczaj człowiecze,
Ja wasz ojciec, a więc ci pomogę;
I wziął Stacha do siebie,
I opatrzył w potrzebie
Sporym datkiem, i żegnał na drogę.

Potem szedł pan do pani,
Rzekł jej: — Siądźno do sani
Pojedziemy do biednych z pomocą;
Weź odzieży i chleba,
Bo im bardzo potrzeba —
I jechali pan z panią choć nocą.

Na kominie drwa płoną,
I Stach z dziatwą i żoną
Siedzi, gada o pana litości —
Aż tu przed nim pan stanie
Stach zawołał: oj panie!
I jak długi padł do nóg swych gości.

Pani chorą weseli,
Dzieci jadłem wciąż dzieli
I okrywa, i patrzał Stach na to,
I wstać nie chciał ze ziemi,
Jeno łzami rzewnemi
Nogi państwa oblewał zapłatą.

— Oj ja panie nie godzien
Twojej łaski — ja zbrodzień
Ja was młócił cepami przed laty;
I dziś w własnej potrzebie
Spalić chciałem ja ciebie —
A ty niesiesz mi pomoc do chaty.

I nad Stacha tą mową
Smutnie kiwał pan głową:
— Oj niedobrzy, zła myśl was się trzy-
Jeźli dworów niebędzie, [ma,
Gdzie pójdziecie wy w biedzie
Gdy nastanie przednowek lub zima?

— Kiedy w dworach usiędą
Jakie żydy arędą
Lub przybłędy, płacz będzie wam mili;
I wśród nędzy i biedy
Przyjdzie rzeknąć wam wtedy:
Oj Panowie ojcami nam byli!

— Oj ojcami, ojcami —
Rzekł Stach głośno ze łzami,
— I będziecie, będziecie wciąż z niemi;
I swej winy żałował
Pan go w czoło całował,
Błogosławił podnosząc go z ziemi.

Niedzielna pogwarka,

i o jednym człowieku co się zwał Piotr Pszonka.

Gdzieżeście łazili Grzegorzu? — pytał Szymek kulawy wychylając głowę z karczmy — chodźcie-no na pogwarkę. Radzimy tu, radzimy od godziny, a wyradzić nic nie możemy.

I wyszedł Szymek z półkwaterkiem przed karczmę i nuż ściskać a cmokać Grzegorza serdecznie, bo mu się już w czuprynie zakurzyło.

— Ej dalibóg, że nie mogę — zaczął się sumitować Grzegorz — byłem ci rano u proboszcza i tak mnie swojem gadaniem rozczulił, tak mi nagadał o tej świętej niedzieli, jak to ją przepędzić trzeba, że choć was kumie kocham jak brata, ale dalibóg że do karczmy nie pójdę.

— Ba! i cóż by wam to mógł nagadać; toć i my to nie lutry i wiemy, że co święto to święto, i do czysta je zachowujemy.

— Ale, ale, otóż co nie prawda to nie prawda. Szkoda, że was to Szymku nie było jak proboszcz począł mi gadać, że jak przyjdzie święta niedziela to rychło msza się skończy jak jużci jedni idą do chałup, najedzą się, a inni znowu dalej do karczmy i tam się pobiją i popiją na obrazę pana Boga.

— A coż to proboszcz chce, rzekł znowu Szymek, byśmy w niedzielę orali, albo młócili. Tyle tam naszego, co sobie człek we święto wypocznie, albo przy kieliszku nagada.

— Oj nie, kumie, ksiądz proboszcz ta wprawdzie pogwarki nie zakazywał, ale też nie kazał nam u żyda te pogwarki prowadzić. Bo żyd kieliszek po kieliszku nalewa, i tak grosz z kieszeni i złe myśli z człowieka wyciąga.

— Ba! niby to proboszcz wina nie pija, że ludziom wódki broni—rzekł Szymek i znowu ciągnął Grzegorza do karczmy.

— Ale Szymonie, ta ksiądz proboszcz tego nie zakazywał, ale mówił jak by to dobrze było, żeby się sąsiedzi zeszli na niedzielę u którego uczciwego kmiecia, po piwko sobie posłali i tam się do woli nagadali o dobrych rzeczach, o gospodarstwie, i o tem co w świecie słychać.

— Ba! czy nasz Mosiek ma piwo? jeno wódkę i arak.

— Otoż właśnie radził ksiądz proboszcz, żeby sobie gromada piwo sprowadziła, a żyda, kiedy nie chce, zostawić z jego wódką.

— No! toć to nie źle ksiądz proboszcz powiedział—rzekł Szymek skrobiąc się po głowie — i nie źle by to było posiedzieć w chałupie, bo by i grosza przybyło i na przednowku człek by nie nażył się tyle biedy. Ale cóż kiedy w dymnej chałupie to się to człekowi i siedzieć nie chce i kuma wstyd zaprosić do siebie.

— A u Marcina nie moglibyśmy to po bożemu przepędzić święta i niedziele?

— Ej! to szlachcic i chłopków na księży uczyć daje, i na książce czyta i do dworu Bóg wie po co wciąż łazi.

— A wstydźże się Szymku—rzekł Grzegorz—czy to dla tego że się ma lepiej od nas, to już nie chłop czy co? co wy też Szymku pleciecie. A że w jego chałupie urządzonej jak u nas i komin na dachu i izba bielona, toż mu nie powinniśmy zazdrościć, ale owszem go naśladować. A my stronimy od niego, patrzymy krzywo, tożci i on od nas stroni. A to źle, bo to bywały człowiek a i oczytany, toby nas nieraz oświecił co się w świecie dzieje. A dzieją się niesłychane rzeczy. Dużo mi jegomość nagadał a i gazetę dał, więc idę do Marcina to mi przeczyta.

— Ej! Grzegorzu, a to my o tem właśnie gadamy w karczmie i zgodzić się nie możemy. Wstąpcie no na odrobinę, przeczytamy co tam piszą.

— A któż z nas zna na książce?—zapytał Grzegorz—a widzisz Szymku jaka to bieda bez Marcina!

— Dalibóg— rzekł Szymek — że mi serdecznie się chce iść do

Marcina, bom strasznie ciekawy; jeno mi hańba tak się przypytywać do niego.

— Hej! nie hańba to mój Szymku podać rękę do zgody, chodźcie ze mną — perswadował Grzegorz i wszedł z Szymkiem do karczmy i nuż namawiać gromadę. A że wszyscy byli podochoceni i rozczuleni gorzałką, to też wszyscy jakoś chcieli zgody z Marcinem i wstawali z ław. Tylko im tego Grzegorz nie mógł rozradzić, żeby wódki nie brali.

— A toć to przeprosiny — mówił Walenty — jakże byśmy się tam bez wódki pokazali.

I poszli do Marcinowej chaty co stała na końcu sioła.

Poszli, choć Mosiek ledwie ich po rękach nie całował, żeby zostali, i wódką darmo chciał częstować; ale to nic nie pomogło i Mosiek zły patrzał za odchodzącymi, a klnął w duszy rady Grzegorza.

Poczciwy Marcin nie mógł się dość nacałować sąsiadów, że tacy łaskawi na niego, i napitku postawił na stole i nastawiał chleba i słoniny. A gromada jeno się obzierała po czystej izbie, i dziwiła się jak tu dobrze i wygodnie, a potem nuż przepraszać Marcina, że się aż pobeczeli jak bobry.

Potem poczęli gwarzyć bez końca. Ale Szymek ciekawy nie dosiedział długo jeno zagadał:

— Miły Marcinie, nie gniewajcie się że mnie język świerzbi i że się was zapytam, po co nasz pan jeździł do Cesarza. Bo nam Mosiek gadał że to o pańszczyznę?

— Wszelki duch pana Boga chwali — zadziwił się Marcin — a co też to żydzisko nie wygaduje, tać to w gazetach wyraźnie piszą. Bo ano Cesarz pozwolił teraz wszystkim krajom co są pod nim, żeby się same rządziły, własnych urzędników miały, a jemu żeby otem wszystkim donosili, więc też i nam dał na to pozwolenie. To też teraz i panowie i chłopi będą razem radzić, coby robić żeby nam wszystkim było lepiej. I będą także narady na których tak chłop jak i pan będzie mógł radzić. A co panowie jeździli do Cesarza to dlatego, żeby mu podziękować, a nie jeździli sami, bo tam i naszych dość pojechało.

Gromadzie aż się lepiej zrobiło, kiedy im tak Marcin oczy otworzył; ale Szymek niedowiarek znowu się wtrącił i mówił:

— Ej panowie tak uczeni i piśmienni, to nam radzić nie dadzą, i sami rządzić będą i źle nam zrobią, bo to panom to nigdy dowierzać nie trzeba.

— Bój się Boga Szymku, jak ty masz sumienie wygadywać na dziedzica. A któż wam nową chałupę wystawił jak stara zgorzała? a któż ci na przednówku pożyczył ziarna? a któż Walentową poratował i pilnował w chorobie, jeżeli nie dziedziczka? Widzicie moi mili, są dobrzy panowie, ale są i źli, zwyczajnie jak ludzie. Tać to własne dziecko a nie zawsze jednako się uda; jedno dobre jeno do rany przyłożyć, a drugie nie uczci ojca i matki i jeszcze, czego broń boże, złem słowem ci się odpłaci za pielęgnacyję. A przecież nie zabijacie dzieci, tylko szukacie sprawiedliwości u starszych i u pana Boga. A o sprawiedliwość teraz trudno nie będzie, bo na takich naradach może i chłop śmiało powiedzieć, czego jemu lub całej gromadzie potrzeba, i w czem ich dolę polepszyć by można.

Oj i dawniej nie były złe paniska, i królowie dawni zawsze opiekowali się chłopami. Ta to nawet słyszeliście o tym królu, co go królem chłopów zwiemy, że był taki ludzki dla biednych. Powiem wam też historję o jednym panu za tego króla, co się nazywał Piotr Pszonka, a krzywdę ludziom robił. Czy lato, czy zima, on polował a polował, zwierzynę strzelał, a za zwierzyną lecąc tratował zboża wieśniaków. Więc wyszli ku niemu chłopi prosząc, żeby się zlitował nad nimi a krzywdy im nie robił. Ale on chłopów obić kazał, a sam dalej swoje robił. Odradzali mu inni panowie, żeby biednych ludzi nie ciemiężył, bo panowie wstydzili się że mają między sobą tak złego człowieka, lecz on ich nie usłuchał.

Ale zdarzyło się że do tej wsi przyjechał król polski Kazimierz. Więc chłopi z płaczem i lamentem do niego, skarżąc się na pana. Król szkodę zobaczył, kazał Piotrowi ludziom to w trójnasób wynagrodzić i jeszcze go za to surowo ukarał.; Widzicie więc moi mili, że i dawniej nie było źle chłopom zwłaszcza że się często trafiali we wsi panowie uczciwi i dobrzy. A i królowie też o nas nie zapominali.

Ale posłuchajcie co się stało z panem. Rozgniewany na króla, że go tak ukarał poszedł do nieprzyjaciół i naprowadził ich na własny kraj. Widzicie kochani sąsiedzi jak to zły człowiek to nie tylko że ludzi nie kocha, co jednym z nim mówią językiem, ale i ziemi się wyrzeka, co go wychowała i wykarmiła. Tak też i z Piotrem się stało. Nie chciał się nazywać Polakiem choć się w Polsce chował i po polsku mówił, jeno się do nieprzyjaciół uciekał, i choć ich mowy nie rozumiał nazywał ich braćmi i pijał z nimi, a na Polaków co niemiara wygadywał. I przyszedł tak z nieprzyjaciołmi nad Wisłę, ale że się bał aby nie potonęli, kazał im się zatrzymać, a sam poszedł szukać brodu, i gdzie płytko było tam tyczki wbijał.

A stała tam nad wodą figura Św. Stanisława patrona Polski. Więc gdy ją Piotr zobaczył przeląkł się bardzo; lecz wnet się opamiętał i jeszcze przekpiwał się ze Świętego, że Polakom nie pomaga. Ale Święty Stanisław prosił pana Boga o ukaranie grzesznego człowieka; i zesłał Pan Bóg bielutkich aniołów, którzy w rybackiej łodzi przypłynęli, i tyczki na głębokie miejsce przenieśli.

Na drugi dzień przyszedł Piotr z nieprzyjacielami nad wodę, i kazał im przechodzić przez Wisłę w miejscu gdzie stały tyczki, upewniając że tam najlepiej. Ale skoro tylko nieprzyjaciele przechodzić zaczęli potonęło ich wiele, bo to była straszna głębia w tem miejscu. A ci co na lądzie zostali, poczęli wołać na Piotra, że ich zdradził, i porwali go i powiesili na drzewie.

Taki to bywa koniec moi mili tych co własnych braci zdradzają i chcą źle czynić tym, którzy z nimi jedną mówią mową.

— Oj Marcinie — rzekł Szymek wstając z ławy i obcierając pot z czoła — a niech-że wam Bóg zapłaci, żeście mi tak sumienie wzruszyli; bo przyznam wam się że mi od jakiegoś czasu złe myśli łażą po głowie; ale od dzisiaj to ja inny człowiek. Jakeście mi zaczęli gadać o panach, a potem o tem panu, co to pragnął zabijać tych, co jedną z nim mową mówili, to mi się niechce jeno płakać, i u proboszcza wyspowiadać, a inne życie zacząć.

Tak mówił Szymek i zaraz w przyszłą niedzielę poszedł do

spowiedzi, od wódki się wyrzekł i był najlepszym człowiekiem w gromadzie, że go dziedzic sam nachwalić się i nadziwić nie mógł jego odmianie.

Stach.

Ciekawy Wojtuś.

Wełna i Bawełna.

Było to w Niedzielę, a z początkiem jesieni. Dzień śliczny bo niezbyt skwarny, niebo to się aż uśmiecha takie czyste i niebieskie, więc jakże tu nie wyjść na świat i nie rozradować się tem wszystkiem, co pan Bóg stworzył dla nas.

Stary Walenty w świątecznej kapocie wracał z nieszporów do domu. Wojtuś siedział sobie na ławce przed domem i strugał szablę.

— No chłopcze, rzuć to, pójdziemy w pole tylko książkę od nabożeństwa schowam — odezwał się Walenty wchodząc do domu.

Wojtuś skoczył duchem, rzucił i nóż i patyki, a zbierał się czemprędzej, bo wiedział o tem dobrze, że po drodze to mu ojciec pewnie coś opowie.

Właśnie też i pan rymarz wyszedł ze żoną, a Wojtuś zmiatał jeszcze trzaski z ławki i przed domem, żeby się matka nie gniewała a nie mówiła że śmieci. Walenty zwiesił czarną rogatywką na bakier, a podpierał się grubą trzciną o srebrnej gałce i z jedwabnemi kutasikami. Kapota długa i wyszywana, a do tego białe włosy i białe wąsy obwisłe, to mu dodawało siła powagi, a jakeś przechodził toś musiał koniecznie czapkę zdjąć przed Walentym, i pozdrowić go chrześcijańskiem słowem.

Tak się wybrali Walentowie trochę za miasto razem z Wojtusiem, raz żeby i swego gruntu kawałek oglądnąć, a potem, boć im szkoda było taki ładny dzień przesiedzieć między domami.

Szli więc sobie gościńcem i rozmawiali, a Wojtuś biegał tymczasem naokoło, i to zrywał sobie jakieś ładne kwiatki, to znowu z kupek szutru wybierał krągłe, różowe kamyczki.

— A ustąpże się, niewidzisz? — zawołał nagle pan rymarz na Wojtusia, co schylony grzebał między kamyczkami.

Oglądnął się Wojtuś, a tu bryka, ogromnie wysoko naładowana jedzie prosto na niego. Pobiegł więc w bok do ojców, ale się znowu obrócił i przyglądał bryce, że taka była ogromna. He, he, patrzy Wojtuś, a toć tu nie jedna, ale kilka takich bryk jedzie, a każda worami het wysoko ponad literki wypakowana. Zdziwił się chłopiec co to takiego i nuż do ojca:

— Mój tatusiu, a co też to oni tyle czegoś na tych brykach wieżą? Raz, dwa, trzy ... a widzisz tatusiu, to tego aż sześć bryk.

Walenty spoglądnął po brykach i pomacał ręką jeden wór, bo właśnie co wozy przechodziły wedle nich.

— Widzi mi się mój chłopcze, że to jest *wełna* — ozwał się wreszcie do syna — bo ją to zawsze w takich worach wieżą.

— Oj mój tatusiu, a co też to jest wełna, i na co tyle tego — zawołał Wojtuś i chwycił ojca za rękę.

— Oj durny chłopcze — rzecze śmiejąc się pan rymarz — a toć pono powinieneś już wiedzieć, że ot i moja i twoja kapota to nie z czego innego tylko z wełny.

Wojtuś zaczerwienił się, że nic jeszcze o tem nie wiedział, ale się też nie wstydził pytać ojca dalej:

— To tę wełnę robią także takie gąsienice jak jedwab?

Walenty spojrzał nato bokiem po polu i rzekł wzkazując palcem:

— Widzisz tam owce, kozy i barany co się pasą na ściernisku?

— A widzę — odrzekł Wojtuś.

— No to pamiętajże sobie, że wełna pochodzi z owiec a także i z kóz. Bo i do czegoż chowali by ludzie te stworzenia? Na samo mięso nie opłaciło by się; a tak ten włos co owce i kozy porasta zestrzyżony, służy nam do wyrabiania różnej przyodziewy. Widzę, żeś o tem jeszcze nic nie słyszał, więc ci co więcej o owcach i o wełnie opowiem.

Tu pan Walenty nawrócił z powrotem do domu, czapkę

zdjął z głowy, bo ciepło i cicho było na świecie, a tak jął opowiadać:

— Od bardzo dawnych czasów umieją już ludzie chodować owce, postrzygać je, a z tej wełny wyrabiać sobie przyodziewy. Więc też rzadko gdzie o taki kąt na ziemi, żeby nie chowano owcy albo kozy; znajdziesz ją i tam, gdzie słońce skwarno dopieka, i tam, gdzie przez większą połowę roku mróz i zima. Są też owce różnej odmiany i *rasy*; a według tej rasy i pożywienia, masz mniej lub więcej wełny.

Najlepsze owce pochodzą z dalekiego kraju, co go zowią *Hiszpanja*. Leży ten kraj na południe, więc też jest w nim gorąco, a dlatego tam owcom nie potrzeba żadnej owczarni, jeno sobie żyją ciągle w górach pod łagodnem niebem. Zowią się te owce *merynosy*, a sprowadzają je także do nas; bo jak dodasz do owiec naszej rasy taką dobrą jak owych merynosów, to się i tutejsze poprawią. Wtem to leży cała sztuka chodowania owiec.

Aleć nie kończy się tylko na mięszaniu ras owczych; dobry owczarz powinien jeszcze wiedzieć: jaka pasza dla owcy zdrowa i pożyteczna, jak ją leczyć na różne słabości, jak sobie postępować przy strzyży, i tak dalej; od tego zależy dobroć zestrzyżonej wełny, a także ile tej wełny będzie. Dobrej rasy i dobrze karmiona owca, może ci dać o ś m f u n t ó w wełny; choć jak sobie źle i niedbale postępujesz, to będziesz miał ledwo do d w ó c h f u n t ó w!

Koło połowy miesiąca Maja odbywa się u nas *strzyża* owiec. Atoli przed strzyżeniem myje się najprzód owce doskonale w osobnych do tego sadzawkach albo stawach, dalej obsuszasz je, strzyżesz, i rozdzielasz wełnę na dobrą i na gorszą, a potem dopiero pakujesz do takich worów czyli *wańtuchów*, jak owo te, co je tu na brykach wieźli. W tych wańtuchach sprzedaje się wełna kupcom, na osobnych do tego jarmarkach, i tak idzie do fabryk, gdzie robią z niej sukno i inne materje.

Odetchnął tu sobie trochę pan rymarz, otarł chustką pot z czoła i tak mówił dalej:

— Długo by to gadać jak robią sukno i inne materje z wełny. Są do tego osobne fabryki gdzie przędą i tkają: jeno tyle powiem, że fabrykant mydli i parzy poprzód wełnę, zaczem ją weźmie do roboty, a to dlatego, żeby z niej wyprać naturalną tłustość, której nie potrzeba. Sukno zdjęte z warsztatu oczyszcza się z *supłów*, jako że jest bardzo kosmate i nierówne, potem płóczesz go dobrze i farbujesz tak jak ci się podoba; wreszcie na końcu postrzygasz gotowe i prasujesz, aby miało dobry pozór.

Takim to różnym i odmiennym sposobem robią różne materje, które się także i różnie nazywają. Więc naprzód masz *sukna* różnego gatunku, dalej *baję*, *flanelę*, *pytle młyńskie*, *kołdry*, *koce* do okrywania koni, *dywany*, *włóczki* itd. Zaś z wełny czesanej to znowu masz siła innych i cieńszych wyrobów. Nasi też ludzie po wsiach potrafią sobie utkać na warsztatach grube *sieraki*, a to z wełny owych owiec najpośledniejszych, co je *świniarkami* zowią.

Mówiłem ci że i z kozy można mieć wełnę. U nas tego nie robią, bo kóz takich nie ma, ale w innych krajach w *Azyi* i *Ameryce* to są takie kozy i *lamy*, co jeszcze przedniejszą od naszych owiec dają wełnę. Szal na kilka łokci z takiej wełny, to możesz zwinąć w rękach na kłąbek.

— Mój tatusiu — odezwał się Wojtuś, skoro ojciec przestał — to moja kapotka jest z wełny, a mamina spodnica także z wełny?

— Nie mój chłopcze — rzekł Walenty — na matczynej spodnicy jest perkalik, a to z *bawełny*.

— A cóż to wełna i bawełna to nie jedno?

— A nie jedno, nie! Bo *bawełna* to pochodzi z jednej rośliny, co w ciepłych krajach rośnie, nieprzymierzając tak jak u nas len i nici ze lnu; jeno tyle, że ta roślina bawełniana to w całych krzakach albo i drzewach rośnie, a nasz len to bardzo maleńki. Aleć inaczej się to i rodzi jak nasz len, bo rosną najprzód niby duże orzechy włoskie, te pękają w swoim czasie, a we środku jest nasienie owinięte w cieniutką bawełnę. Z jednego krzaka można mieć do *dwóch funtów* bawełny; a tak

skoro z wielu krzaków zbierzesz, to jeno oczyścić trochę, i gotową pakujesz do worów.

Z tej to bawełny wyrabiają takie materje jak: *barchan*, *kartun*, *perkal*, *nankin*, *muślin*, *tiul*, i inne. Nie są to takie trwałe rzeczy jak z wełny, ze lnu albo z jedwabiu, a *perkal* bawełniany łatwo odróżnisz od lnianego płótna, bo zawsze jest więcej kosmaty. —

Skończył na tem Walenty, bo właśnie zaczęli dzwonić na Anioł pański. Cicho było i spokojnie w powietrzu; Wojtuś zdjął czemprędzej czapkę z głowy, a tak wszyscy troje zbliżali się spokojnie ku domowi, szeptając wieczorną modlitwę.

Grześ z Mogiły.

Rady dla gospodarzy.

Znalazłem bardzo starą książkę, i nie po naszemu napisaną. Zajrzałem do niej, i znajduję tu zbawienne dla was rady: proste a mądre. Dla tego też je wam tu wypisuję, abyście z nich korzystali.

Trzeba w czasie przyzwoitym dać ziemi ziarno, aby kiedy potrzeba weszło żniwo, a ty cudzego wsparcia nie potrzebował.

Pracuj, a nie będziesz w potrzebie.

Masz dóm, siedź w nim; — masz pole, doglądaj go; — masz wołu, używaj go do pracy; — narzędzia gospodarskie utrzymuj w całości, żebyś się bez cudzych obył.

Nie odkładaj do jutra tego, co dziś zrobić możesz. Człowiek leniwy nie zapełni stodoły.

Miej parę wołów równych w wzroście i jednego wieku, a to dla tego, iżby pług równo ciągnęły; inaczej gdy jeden słabszy a drugi mocniejszy, naprost skiba nie pójdzie, a pług skruszyć się może.

Podczas zimy zajmuj się robotą wozów, pługów, radeł, bron, soch i innych gospodarskich narzędzi, abyś miał i do użycia, i na zapas, gdy się stare zepsują.

Kiedy czas orania przychodzi, uprzedzaj świtanie, i rznij lemieszem ciepłą i wilgocią ożywioną ziemię. Wznieś wówczas w Niebo oczy, a gdy będziesz prosił Boga o plenność, niech ręce twoje imają się pługa. Nic bez Boga nie zaczynaj, bo bez Boga skończysz. Pamiętaj, abyś dobrze ziemię uprawił, aby ziarno na równą i pulchną padło ziemię.

Podczas żniwa wstawaj razem z zorzą; spiesz się z pracą, abyś co rychlej zwiózł zboże do stodoły. Jedna godzina stracona o głód cię przyprowadzić może. Zorza budzić cię po-

winna, zorza drogę oświecać, zorza początkowi pracy towarzyszyć, nim słońce wschodem swoim świat rozweseli.

Zbożem i sianem napełnij gumna, abyś miał czem żywić dobytek. Lecz czeladzi i zwierzęciu trzeba wygody i spoczynku. Wtenczas miej psa czułego w podwórzu, a nie skąp mu strawy, by czujniej pilnował.

Gdy będziesz miał pojąć żonę, nie spiesz się do trzydziestego roku; bierz ją w dojrzałej porze; nie zapędzaj się daleko po nią, najlepiej uczynisz gdy ją dobrze poznaną w sąsiedztwie wybierzesz. Nie masz droższego skarbu nad żonę poczciwą, ale nierządna największem jest utrapieniem; zniweczy ona jako ogień pożerający męża swego, i wprawi go przed czasem w zgrzybiałość. Z przyjacielem obchodź się szczerze. Jeżeli kto cię pokrzywdzi słowy lub uczynkiem, miej na niego dwie kary: niech błąd uzna, a ty mu odpuść.

Nie wab w dom gości; ale gdy przyjdą, przyjmij ich wdzięcznie. Nie zabieraj ze złymi towarzystwa, cnotliwych zaś od siebie nie odstręczaj.

Język wstrzemięzliwy drogim jest skarbem. Nie lżyj innych, bo sam możesz byc zelżonym.

Trzymaj naczynia domowe ochędożnie, żeby i tobie, i innym w używaniu nie były odrazą.

Szczęśliwy, i stokroć szczęśliwy ten, który swe życie w pracy przepędza, a posłuszny woli Bożej strzeże się złego, żyje bez zakału; bo taki tylko jest miły i Bogu i ludziom. —

(Sz. N.)

✝

Zeszłego miesiąca 21go zmarł nagłą śmiercią **Bruno Bielawski**, były redaktor **Dzwonka**. Cios ten przykry dotknął nas tem bardziej, że **Bruno** umarł za granicą. Czystą jego duszę powołał Pan Bóg do swego królestwa, lecz nam nie dozwolił choć spojrzeć na zwłoki po raz ostatni! Wielka boleść po wielkiej stracie! Najwięcej dotyka on was ludzie od roli, bo dla was poświęcał on swoje siły, was wszystkich ogarniał on swą wielką miłością. Dzieci, módlmy się za czystą duszę jego.

Boże, policz mu jego ziemskie zasługi!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.